

ZWIĄZEK WALKI ZBROJNEJ — KRAKÓW

ODCINEK II. — PODODCINEK C.

KOMPANIA „KRYSTYNA”

Po zakończeniu Kampanii Wrześniowej, w której brałem udział jako podporucznik rezerwy 5 Pułku Strzelców Konnych, — 30 września 1939 r. znalazłem się w rodzinnym Krakowie.

Wstrząs psychiczny po przegranej przeżywałem duży, ale jakoś od razu zaczęło przeważać przekonanie, że to dopiero początek wojny, że przecież pozostali na polu walki Francja i Anglia, że było nas zmobilizowanych półtora miliona żołnierzy, kilkadziesiąt tysięcy poległo, paręset tysięcy dostało się do niewoli, więc — logicznie — reszta musi gdzieś być. Tkwiły w pamięci głęboko słowa przysięgi żołnierskiej, składanej 29 listopada 1935 r. w Cytadeli grudziądzkiej: „za sprawę Ojczyzny mej do ostatniej kropli krwi walczyć...” — zatem — nie może to być w żadnym wypadku koniec. Przecież nie ja jeden zostałem wyrzucony z siodła.

Na razie krążyłem po Krakowie szukając znajomych twarzy towarzyszy broni. Zaczęli się pojawiać. Efekt rozmów i wspomnień przeżyć wojennych był ten sam: „tak nie może zostać”. Ale na razie, poza postanowieniem, „że trzeba” — nie było niczego konkretnego.

Na ulicach spotykało się wielu mężczyzn w marynarkach, przerobionych z kurtek mundurowych, miały wykładane kołnierze i po 4 cywilne guziki. Wielu w butach. M.in. spotkałem Antoniego Dębskiego, rotmistrza adiutanta 5 PSK. Spotkaliśmy się w ul. Karmelickiej, koło cukierni Danka. Zamieniliśmy parę słów, widocznie uważał wówczas, że z uwagi na krótką znajomość (do 5 Pułku dostałem przydział w lipcu 1939 r. z 8 Pułku Ułanów Ks. Józefa Poniatowskiego) — jeszcze nie czas na rozmowy konspiracyjne. Jak się później dowiedziałem, sam był już w konspiracji w Komendzie Obwodu Kraków.

Z końcem października spotkałem swego przyjaciela i kolegę z Gimnazjum Sobieskiego, z Wydziału Prawa UJ i Akademickiego Oddziału Związku Strzeleckiego, którym przed wojną żywo działałem — Mgr Eugeniusza Podgajnego, podchorążego 12 PP. Gierek postawił sprawę otwarcie: odtwarza się Wojsko Polskie w konspiracji. Bez wahania zgłosiłem swój udział, po upewnieniu się, że będzie to istotnie kontynuacja naszego Wojska. Po paru dniach podał mi hasło (niestety — dziś nie pamiętam) i kontakt na ul. Gen. Zielińskiego — za cmentarzem wojskowym — na dzień 16 listopada — do Pana Pakosza.

W oznaczonym dniu zgłosiłem się pod wskazany adres. W małym domku, w skromnie urządzonej sypialni, przyjął mnie pan średniego wzrostu, w popielatym ubraniu, gładko wygolony, czupryna „na jeża”, złote binokle. Przedstawił się krótko: „Pakosz”.

Po krótkiej rozmowie na temat mojej służby wojskowej, zapytał mnie, czy jestem zdecydowany kontynuować służbę, bardzo trudną służbę. Zdeklarowałem się z miejsca. Z rozmowy bowiem wywnioskowałem, że mam do czynienia ze sztabowym oficerem.

„Pakosz” — jak się później dowiedziałem — Władysław Seweryn-Juras, podpułkownik i dowódca 183 PP rez. Grupy Gen. Kleebarga, rozłożył na stole plan Krakowa. Moje zadanie: jesteśmy Służbą Zwycięstwu Polski, Obwód Kraków-Miasto. Obwód podzielony na 4 Odcinki — A-B-C-D. My stanowimy Odcinek II Zachodni. Mam objąć Pododcinek C zamknięty ulicami: od zachodu ul. Piastowską, od północy Mazowiecką i Krowoderską, od wschodu linią Plant od południa ul. Piłsudskiego i Aleją 3 Maja do ul. Piastowskiej. Zadanie: werbowanie ludzi, zwłaszcza rezerwistów, formowanie w konspiracyjne „piątki”, stworzenie kadry, stworzenie siatki wywiadu i wywiadu ochronnego, gromadzenie broni. Mój pseudonim: „Rawicz”, (wkrótce zmieniony na „Morshi” wobec istnienia drugiego „Rawicza”). Kryptonim jednostki: „Krystyna”. Jeszcze kilka uwag na temat sytuacji w moim Pododcinku — nie było kto i nie było co, bo w budynku Akademii Górniczej — rząd tzw. generalnego gubernatorstwa i kilka koszar. Jeszcze mocny uścisk dłoni i „Krystyna” rozpoczęła konspiracyjny żywot.

Pierwszych kandydatów miałem już upatrzonych — koleżdy z wojska i Związku Strzeleckiego: ppor. rez. 20 PP. mgr Kazimierz Kostewicz objął funkcję mego zastępcy pod pseudonimem „Sulima”. Ppor. rez. inż. Franciszek Roth z 3 Pułku Szwoleżerów, ps. „Kuba”, — mój młodszy kolega z gimnazjum Sobieskiego Stanisław Wojciechowski, ppor. 1 P. Strzelców Podhalańskich ps. „Korab” i młodszy kolega z 5 PSK Edward Kielman podchorąży „Czarnota” — mieli objąć plutony. Cała czwórka zabrała się do roboty, otrzymując zadania odpowiadające moim. „Korab” wciągnął 3 kolegów ze Szkoły Podchorążych Piechoty: ppor. Eugeniusza Córusi-Bachledę ps. ? z 1 PSP, ppor. Józefa Krępe ps. ? z 64 PP Strzelców Murmańskich i ppor. Kostrzewskiego ps. ? z 20 PP. Kielman zwerbował brata Józefa ps. „Joy” i kilku jego kolegów, — ja — młodsze koleżdy z gimnazjum ppor. Hammerschlagę Tadeusza z 3 PPLeg. i kilku znajomych studentów ze „Strzelca” Akademickiego. Coraz ktoś meldował o nowych nabytkach. Zaraz po Nowym Roku skontaktował się ze mną ppor. rez. 6 PAL Jakub Lubowiecki, znany krakowski sportowiec. Miał on swoją grupę, ok. 20 rezerwistów i młodych ochotników. Przekazał mi ich w związku ze swą decyzją udania się do Francji. Nawiązał również ze mną kontakt Jan Gruszecki, ps. Pikador podchorąży 5 PSK, który

we własnym zakresie stworzył grupę kilkunastu młodych ludzi.

Zaraz z początkiem roku 1940 otrzymałem kontakt z dowódcą Odcinka i wezwanie na odprawę. Nie pamiętam naszego pierwszego lokalu kontaktowego, chyba w jednym z domów przy ul. Lenartowicza, między ulicą Sienkiewicza i Alejami. Dowódca — pan średniego wzrostu, gładko wygolony, szatyn o miłym wyrazie twarzy, pseud. „Waligóra”, — jak się później okazało major 3 Pułku Artylerii Lekkiej, Mieczysław Kościeszka-Kuślakowski. Na odprawie, prócz mnie, byli obecni dowódca Pododcinka A pchor. Tomasz Gołda ps. „Lew”, dowódca Pododcinka B pchor. Dominik Zdziebło ps. „Kordian” (z Grupy Gen. Kleeberga), dowódca Pododcinka D „Brzytewka”, chyba kapitan artylerii, do dziś nie znam nazwiska, oraz adiutant Odcinka, mój profesor geografii z Gimnazjum Sobieskiego — Julian Stanoch. Pseudonimu nie pamiętam. Major zapoznał nas, oczywiście pseudonimami, nazwisk wówczas nie znałem prócz prof. Stanocha, omówił sytuację własną Odcinka i nieprzyjaciela w mieście, wysłuchiwał meldunków z dotychczasowych osiągnięć. Zaskoczył mnie „Kordian” meldując jakąś wysoką liczbę podkomendnych, bodaj aż 5 kompanii w batalionach „Tygrys” i „Pantera”. Dziwnie jakiś pan ten nie przypadł mi do gustu. Może to śmieszne, ale dziwnie nie lubię ludzi w „motylkach” na szyi. Otrzymaliśmy jednolite plany Krakowa, szyfr i kontakt z oficerem informacyjnym Odcinka, którym okazał się drugi mój profesor z Gimnazjum Sobieskiego, polonista Tadeusz Szantroch por. rez. znany poeta z grupy beskidzkiej „Czartak” — obecnie „Orsza”.

Pierwszy szyfr brzmiał: „Dziewczę z buzią jak malina”. Korzystało się z niego tak:

D z i e w c z e z b u z i ą j a k m a l i n a
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24
a b c d e f g h i j k k l m n o p r s t u v y z
Szyfr jak widać naiwnie prosty. Podawało się nim nazwiska, imiona, pseudonimy, kryptonimy, adresy. Przykład deszyfracji: Kowalski. 11 15 21 01 12 18 11 13. Szyfr, jak widać łatwy do rozgryzienia, więc często zmieniany. Pamiętam inny: „Polityka Niemiec to rozbój”. Z wytycznych Majora wynikało, że w organizacji obowiązują „piątki”, ale przewiduje się formowanie plutonów pełnych (etat piechoty 3 × 19 żołnierzy plus poczet dowódcy plutonu) i szkieletowe, czyli dopełniające się w miarę napływu ochotników.

Major położył specjalny nacisk na łączność, ściśle przestrzeganie zasad bezpieczeństwa, na zorganizowanie wywiadu i wywiadu ochronnego, wreszcie na koncentrację ludzi w pododcinkach, a nie rozpraszanie ich po całym Krakowie.

Tu przyszedł mi na myśl „Kordian” z jego zgłoszonymi batalionami. Ja miałem ok. 50 ludzi, o każdym coś wiedziałem. Po odprawie, już na ulicy, „Kordian” zaproponował mi, aby nie wykonać polecenia Majora w sprawie zgrupowania ludzi mieszkających w rejonach Pododcinków. Zaproponował mi, że on nie przejmie moich ludzi mieszkających w jego pododcinku, a ja — żebym nie przejmował jego ludzi, mieszkających na moim terenie. Odpowiedziałem krótko, że rozkaz Majora wykonam, ja mu przekażę ludzi moich mieszkających na terenie jego pododcinka, a on niech robi, co uważa za stosowne. Zapytałem, kogo wyznacza jako przejmującego, usłyszałem jakiś pseudonim, dziś już nie pamiętam, a co do stopnia — „urzędnik wojskowy”. Odpowiedziałem, że jeśli nie wyznaczy oficera, lub podchorążego, to nikogo nie przekażę, że urzędnicy wojskowi przestali istnieć w 1923 czy 24 roku, o czym powinien wiedzieć. Ze swej strony wyznaczyłem „Kubę” (ppor. Rotha), który kilkunastu ludzi przekazał

do Pododcinka B. Odtąd straciłem do „Kordiana” zaufanie, tak potrzebne w naszej pracy.

Jeszcze w czasie odprawy Major poruszył sprawę kadry. Według obecnych wytycznych z zagranicy, dowodzić ma nie ten, kto ma wyższy stopień wojskowy, lecz ten, kto wykazuje zalety dowódcy. Zameldowałem Majorowi, że ja i moi oficerowie wyszliśmy z polskiej szkoły, z wpojonym szacunkiem dla starszego stopniem, że Wrzesień wykazał zalety dowódcze młodej kadry, że u mnie żadnych tego rodzaju „nowinek” nie będzie, jeżeli mamy być kontynuacją naszego Wojska. Wydało mi się, że Major przyjął to do wiadomości z aprobatą.

Zorganizowałem w międzyczasie w Pododcinku wywiad i wywiad ochronny. Miałem kilku obrotnych dozorców domów umiejących patrzeć i słuchać, kilku właścicieli piekarni i sklepów rzeźniczo-masarskich, w których brali towar Niemcy. Poznawszy normy żywnościowe dzienne żołnierza niemieckiego nietrudno było obliczyć ilość głów, nietrudno było ustalić, gdzie kwateruje jaki oddział. Każdy zresztą żołnierz miał obowiązek meldować o dostrzeżonych oddziałach wojskowych, o znakach rozpoznawczych, o sprzęcie, jednym słowem o wszystkich nowościach dotyczących wojska i policji, zaś w dziedzinie wywiadu ochronnego — o wszystkich podejrzanych o współpracę z Niemcami, o Volksdeutschach i Ukraińcach. Staraliśmy się zdobywać informacje o policji polskiej — z niezłym skutkiem. Oficer informacyjny Pododcinka co dwa dni składał meldunki „Orszy”, a pilne — natychmiast.

Duże zainteresowanie wywołały tworzące się w Krakowie oddziały Waffen-SS. Pewnego popołudnia zauważyłem koło Uniwersytetu maszerujące w stronę Błoni 4 oddziały SS-mannów w mundurach organizacyjnych, weszły one do Domu Akademickiego przy Błoniach. Po paru dniach byli już ubrani w mundury feldgrau z oznakami SS. W moim Pododcinku 4 kompanie zakwaterowane były w tymże Domu Akademickim, drugie 4 kompanie w liceum Ks. Misjonarzy przy ul. Juliusza Lea, w miejscowym internacie. Były to bataliony tworzącego się 8 pułku Waffen-SS (trzeci batalion znalazłem pod Wawelem w budynku Seminarium Duchownego). Obserwowałem tych z Domu Akademickiego kilkakrotnie w czasie ćwiczeń na Błoniach. Trzeba przyznać, że z dnia na dzień stawiali się coraz sprawniejszym wojskiem. Ryki podoficerów w czasie ćwiczeń słychać było chyba w Rynku...

Od stycznia 1940 roku podjąłem służbę w sądownictwie polskim, (rozpoczętą wiosną 1939 roku) — jako aplikant sądowy. W moim pokoju biurowym urządziłem sobie punkt dowodzenia, mając do dyspozycji telefon, przyjmowałem codziennie meldunki łączniczek. Sędziowie Polacy byli bardzo domyślni, zostawiając mi dużą swobodę ruchu i kontaktów z ludźmi. Miałem pod ręką woźnego Węgrzyna, byłego kaprała 8 Pułku Ułanów. W pokoju ze mną przebywał Mgr Jan Rys również „swój”.

W międzyczasie, we własnym zakresie, zarzuciliśmy system piątkowy, formując drużyny piechoty (1 + 18) i plutony o 3 drużynach. Drużyny, na razie szkieletowe, napieniające się w miarę napływu ochotników. Kadra i szeregowi czuli się w tym układzie bardziej „po wojskowemu”.

Wczesną wiosną Major w czasie jednej z odpraw dokonał zaprzysiężenia dowódców Pododcinków. Trzeba przyznać, zrobiło to na nas wrażenie. W Pododcinkach zaprzysiężenia ochotników dokonywali dowódcy plutonów i drużyn, już zaprzysiężeni. Chcąc obejrzeć kilku ochotników, wpadłem na pomysł, nie mający nic wspólnego z konspiracją. Wysłałem wezwania sądowe dla 9 żołnierzy (przeważnie byłych kadeków), dotychczas niezaprzysiężonych, by stawili się oznaczonego dnia w oznaczonych godzinach w oznaczonej sali sądowej, Sądu Grodzkiego, przy ul. Starowiślniej 13. Można sobie

wyobrazić osłupienie wezwanych (po trzech) przez Węgrzyna. Na stole sędziowskim krzyż. Wchodząc z pokoju sędziowskiego na salę, witałem ich słowami „*czolem żołnierze!*”. W pierwszej chwili oniemieli, a potem, wyciągnięci jak struny, powtarzali słowa przysięgi. Następnie wygłaszałem formułę przyjęcia do ZWZ, — uścisk dłoni — i znikali — jak przyszli.

Kadra Pododcinka była w tym czasie — połowa 1940 roku — już pełna. Na 5 plutonach jeszcze szkieletowych: „Alina” — ppor. „Korab” — Wojciechowski. „Barbara” — ppor. Eugeniusz Curus-Bachleda „Juhas”. „Czesława” — pchor. kaw. „Czarnota” — Edward Kielman. „Danuta” — pchor. kaw. Bogusław Pawik ps.?. — „Ewa” — ppor. kaw. „Kuba” — Franciszek Roth. Prócz nich w zapasie ppor. Kostrzewski i ppor. Krępa. Dalej: oficer łączności: „Mefisto” — ppor. łączn. Kazimierz Kaczyński. Oficer techniczny: ppor. broni panc. Zygmunt Ślabik (prawdziwe nazwisko Edmund Kuczkowski). Oficer broni: ppor. art. Mieczysław Brückner-Lewicki. Oficer informacyjny — chor. łączn. Andrzej Moskps.?. — Szef Pododcinka: chor. adm. Walenty Lichota ps.?. Sekcyjna Łączniczek (było ich 5) — „Jasna” — Ludwika z Gramatyków Golkowa. — Lekarz — ppor. Penkala ps.?. wkrótce aresztowany poza Krakowem, po nim ppor. dr Marian Wodziński ps.?. Lekarz w Zakładzie Medycyny Sądowej (był w komisji katyńskiej). Z punktów kontaktowych pamiętam zakład dentystyczny p. Stefana Wojciechowskiego przy ul. Karmelickiej 23 ojca ppor. „Koraba”, — dalej pp. Woycickich przy ul. Lenartowicza nr.?, wreszcie u pp. Adama i Ilony Kopycińskich, przy ul. Sebastiana 22. Adam — znany pianista, profesor muzyki, — Ilona — uroczą Węgierka. Jej rodzice mili starsi państwo. Tam odprawy kończyły się zawsze kilku melodiami odegranymi znakomicie przez Adama, po czym pojawiał się Zbigniew Filus, przyjaciel domu, artysta Teatru Słowackiego, aktualnie urzędnik w Wydziale Zaopatrzenia Zarządu Miejskiego, zawsze z teczką pełną masła, sera, jaj itp. Po ucztach duchowych dzięki Adamowi, następowały cielesne, w postaci wyczynów kulinarnych pani domu.

A tymczasem w świecie działo się wiele. Naprzód radosna wieść — Narvik i udział w kampanii norweskiej naszej Brygady Podhalańskiej. Potem — straszną katastrofą we Francji. Wrażenie początkowo, zwłaszcza wśród społeczeństwa, było piorunujące, załamanie psychiczne, kładące na niewiadomo jak długo nadzieję, wyrażane w powiedzonku „*im słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej*”... Dla wielu Polaków bowiem Sikorski był uosobieniem jasnego jutra. Klęska Francji spowodowała w szeregach ZWZ pewne ubytki, nieco ludzi zwątpiło w sens konspiracji. „Krystyna” przeciwnie — jakoś krzepła. W rozmowach z kolegami oficerami odczuwało się jakąś mściwą satysfakcję, że zdrada nie oplaca się nigdy. Zdrada — tzn. polski Wrzesień... No, ale pozostawała przecież Anglia. Chłopcy trzymali się. Churchill zapowiedział przecież walkę na lądzie, morzu, w powietrzu do ostatniej piędzi ziemi brytyjskiej. Zresztą nie złamał nas Wrzesień, to i nie złamie i Francja. Był przecież „Godziemba” — gen. broni Kazimierz Sosnkowski — najbliższy naszym sercom.

Jeśli chodzi o nastroje w oddziałach ZWZ — w kadrze było różnie. Wiele mówiono o osobie gen. Sikorskiego, ale kadra na ogół nawiązywała do tradycji przedwojennych w jakich wyrastaliśmy w czasie służby wojskowej i dlatego bliższa nam była osoba gen. Sosnkowskiego, aktualnego Komendanta Głównego ZWZ zagranicą, który nam, żołnierzom Września był dobrze znany, we Wrześniu miał jedną z jaśniejszych kart i krótko mówiąc — był „nasz”. W szeregach oficerskich utarło się: „*lojalność dla osoby Naczelnego Wodza — ale serce — dla Godziemby*”. Raziło nas nowinkarstwo wprowadzone

przez Naczelnego Wodza sprzeczne zupełnie z duchem naszego Wojska, dyskwalifikowanie legionistów, którzy w ogromnej większości wykazali się we wrześniu dobrą żołnierską postawą, tworzenie jakichś „grenadierów” — „strzelców pieszych”, nieuznawanie tradycji wojskowych. Sosnkowski był właśnie uosobieniem i kontynuacją tradycji i ducha „naszego Wojska”, w którego szeregach mogliśmy dalej służyć — i walczyć.

Przy ul. Garbarskiej 4, na I piętrze miał swoją kancelarię adwokat Stanisław Truszkowski. Był synem generała Armii Hallera. Niskiego wzrostu, na głowie tonzura otoczona szpakowatymi włosami, grube okulary. Był to szef wywiadu Obwodu. Miałem z nim bezpośredni kontakt, jako z zamieszkałym na „moim” terenie.

Późną wiosną 1940 roku miałem pierwszą, zapowiedzianą przez Majora inspekcję mego Pododcinka. Odwiedził mnie w moim mieszkaniu p. „Malina”, jak się później dowiedziałem, rtm. 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich Józef Bokota. Wypytał dokładnie o stan liczebny, rozmieszczenie, uzbrojenie (tu nie było się czym pochwalić) rozmieszczenie Niemców, system alarmowy, wywiad własny, słowem — o wszystko. Szczególnie zadowolony był z faktu, że orientuję się dobrze, ilu ludzi liczy „Krystyna”, gdzie są rozmieszczeni, interesowała go również moja ocena kadry. Wyraził się w rozmowie, że zdaniem dowództwa, niektóre meldunki z terenu odnośnie stanów — są „na wyrost”.

20 września tego 1940 roku (pracowałem wówczas w Sądzie Okręgowym, Wydział II Cywilny z przydziałem do składu sędziów: wiceprezes Sądu dr Eugeniusz Swider (legionista), dr Marian Łazarski (wkrótce aresztowany i wywieziony do Oświęcimia) i dr Marian Mach — wszyscy „swoi”). Zajmowałem z Rysiem pokój nr. 34, gdzie miałem swój punkt dowodzenia. Mgr Jan Ryś również aplikant i żołnierz ZWZ. W chwilę po godzinie 8-mej wpadła do nas „Jasna”, przekazując rozkaz Majora, abym się natychmiast zgłosił na punkcie kontaktowym w sklepie przy ul. Grodzkiej 35, gdyż adwokat Truszkowski został o świcie aresztowany w mieszkaniu. Niemcy założyli „Kocioł”. Nie mogli trafić lepiej. Zameldowałem się niezwłocznie „Waligórze”, było jeszcze w lokalu paru oficerów. Nie pamiętam — kto. Bardzo zdenerwowany Major zapytał, co wiem w sprawie i co robić. Truszkowski miał na biurku w kancelarii bibularz, między warstwami bibuły przechowywał aktualny szyfr. W wiszącym na ścianie kalendarzu Muzeum Narodowego z roku 1938 na odwrocie listopada była oleata z rozmieszczeniem Niemców i naszym. Nie wiedziałem, czy coś zostało znalezione i dlaczego „Trus” wpadł. Jego aplikantka p. Nowicka-Przysłupska nie została aresztowana. Zdecydowałem się od razu, że pójdę tam i sprawdzę, jak sytuacja wygląda. Jeżeli się uda, to zniszczę szyfr i oleatę. Obecni protestowali gwałtownie, że to samobójstwo pchać się do kotła, ale wytłumaczyłem, że nie ma innej rady, że chodzi o bezpieczeństwo setek ludzi, a ja dam sobie radę. Major wreszcie uległ, pożegnał mnie zupełnie nie po wojskowemu, polecając Opiece Boskiej i miał bardzo wilgotne oczy...

Miałem legitymację służbową. Truszkowski niedawno w naszym Wydziale Sądu miał sprawę, którą pamiętam. Węgrzyn szybko wyszukał akta, zaufana maszynistka, uroczą Janeczka Doening przepisała ostatni protokół rozprawy, miałem już przyczynę odwiedzenia kancelarii „Trusia”. Od zaprzyjaźnionej aptekarki dostałem kuleczkę cyjanku, zawiadomiłem „Koraba”, „Sulimę” i „Czarnotę” o swej decyzji i nic w domu nie mówiąc Matce (Ojciec pułkownik audytor był internowany w Rumunii), po obiedzie poszedłem na godzinę 17 na ul. Garbarską 4. Koło domu nie zauważyłem niczego ciekawego, okno mieszkania i kancelarii Truszkowskiego było

otwarte, mignęła w nim jakaś kobieta. Cicho wszedłem na I piętro, przytknąłem ucho do drzwi — cisza. Przeżegnawszy się — zadzwoniłem. Usłyszałem wewnątrz ciężkie kroki w przedpokoju. Sekunda namysłu, rzut oka na schody, jeszcze można zjechać na dół po poręczy — nie!. Otworzyły się drzwi, w nich dryblas po cywilnemu, łeb uczesany z przepisowym przedziałkiem, w butach. Na pytanie oświadczyłem, że chcę się widzieć z adwokatem. Zaprosił mnie do środka szerokim gestem. Wszedłem do poczekalni, roilo się w niej od ludzi. W pierwszym pokoju przy stoliku z maszyną do pisania siedział cywilny chuderlawy szkop ze swastyką w klapie. Pokazałem mu legitymację i przyniesione protokoły, wyjaśniając, co mnie sprowadza. Zapisał, zabrał mi legitymację i kazał czekać. Rozejrzałem się po lokalu. Szkopów było dwu. Nikt nie pilnował łażących po pokojach kancelarii ludzi, a było ich kilkunastu. Przy drzwiach do pokoju „Trusia” modliła się z książeczki starsza pani. Pospacerowałem chwilę po pokoju, nie było charakterystycznego porewizyjnego bałaganu. Poprosiłem tę panią, by obserwowała szkopa przy maszynie, czy nie wstaje, wtedy trzeba chrząknąć. Cisza. Wobec tego najpierw szybko rozparcelowałem bibularz, szyfry do kieszeni, potem obejrzałem kalendarz, oderwałem delikatnie oleatę, podarłem jedno i drugie na strzępy i z ustępu popłynęły do Rudawy... pierwsza runda rozegrana szczęśliwie. Teraz należało jakoś wydostać się z tej pułapki. Ponieważ dalej nikt nie zaglądał do pokoju mecenasa, poza tą starszą panią, a okno było dalej otwarte, napisałem dwie karteczki: „Karmelicka 23 dentysta — kociol — pozytywnie”. Karmelicka 23 to adres Stasia Wojciechowskiego. Nadszedł chodnikiem jakiś zakonnik Karmelita. Psyknąłem, podniósł głowę. Rzuciłem kartkę, złapał, przeczytał i szybko zawrócił w pożądanym kierunku. Po chwili taka sama operacja, tym razem młoda kobieta. Więc — i to załatwione.

O godzinie 19-tej, gdy było nas w kotle coś 35 osób, zajeżdżał duży policyjny „Truppentransporter”, kazali nam wsiadać „bez kawałów” i pod eskortą 2 cywili i kierowcy policjanta zajeżdżaliśmy na Montelupich. Po drodze zauważyłem paru znajomych — z przerażenymi minami.

Niezbýt przyjemne było uczucie, gdy za plecami trzasnęła żelazna brama. Co dalej. Zaprowadzili nas do tylnego budynku. Na parterze wartownia i izba przyjęć. Trzeba było wypróżnić kieszenie, wszystko starannie spisali i zamknęli w kopertach numerowanych, wachtmeister wypisał mi na plecach kredą „138” i znalazłem się w tejże celi na II piętrze. W celi 18 mężczyzn. Zaraz po wyjściu szkopa zostałem zasypany pytaniami, co i jak. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą — z „kotła”. Zaczęli mnie pocieszać, że na pewno wyjdę, ale dopiero w poniedziałek (był wtedy piątek), zaczęli mi podawać adresy rodzin z prośbą o ich powiadomienie, starałem się zapamiętać, słowem, niemal zdecydowali o moim rychłym zwolnieniu. Na kolację korytarzowy przyniósł zupę pomidorową z makaronem (niezłą), dostarczaną przez Radę Główną Opiekuńczą (RGO). Jeszcze trochę pogwarki i o 21-szej — cisza. Spać. Dobrze powiedzieć — spać. Naprzód inwazja pluskiew, dawały szkołę niesamowitą. Potem — inwazja rozmaitych myśli. Wiedzą coś o mnie, czy jeszcze nie wiedzą. I co dalej. O ich metodach było już dostatecznie głośno. Miałem wprawdzie w mankierce nogawki cyjanek, ale i dopiero 24 lata życia za sobą i zamiar, aby jednak jeszcze trochę pożyć. Do tego na podwórzu jakieś hałasy. Wreszcie noc jakoś przeszła. Po pobudce porządkowanie celi, — śniadanie — czarna kawa i chleb — i czekanie, co dalej. Wbrew sugestiom towarzyszy niedoli — koło godziny 10-tej zgrzyt klucza w drzwiach. Ustawiamy się w dwusereg, wchodzi policjant (oczywiście niemiecki). Starszy celi zgłasza:

„Achtzen Haeflinge, ein Heizer”. Po jakiego diabła Heizer, skoro nie pali się w piecu? Szkop wyciąga kartkę i sylabizuje — moje nazwisko. Zgłaszam się. „Alles mitnehmen und kommen Sie mit”. Ponieważ nie miałem żadnego „alles”, a „Sie” zabrzmiało jakoś pokojowo (czyżby?) powędrowaliśmy na parter. Rzeczywiście, koło wartowni kłębi się całe wczorajsze towarzystwo od „Trusia”. Wzywają nas po kolei, oddają depozyty, pouczają o obowiązku milczenia — i — za bramę. Jako dobrze wychowany mówię dowódcy warty „Aufwiedersehen”. Stary szkop przyjrzał mi się uważnie i mruknął: „lepiej nie”. Słusznie. Miłe uczucie tym razem, gdy przechodzę bramę budynku, gdzie, o ironio losu, mój rodzony Ojciec, jako szef Wojskowego Sądu Okręgowego nr 5 mieszczącego się we frontowym budynku, ostatnie trzy lata przed wojną „sprawował rządy” również i nad więzieniem, wtedy Wojskowym Więzieniem Śledczym nr 5...

Na polu piękne jesienne słońce. Rzucam okiem w stronę przystanku tramwajowego. Oczywiście: na rogu ulicy stoi „farna”, elegancka, jak zwykle. Na mój widok z daleka uśmiecha się i wskazuje do nadjeżdżającego tramwaju „3”, a gazeciarz, stojący niedaleko bramy więzienia, znudzonym ruchem rzuca swoje gazety do kosza na śmieci i wolnym krokiem odchodzi... czekali oboje. Ledwie uszedłem kilkanaście kroków, słyszę „proszę pana”. Odwracam się — jakiś starszy pan z chustką w ręce. „To trzeba zetrzeć” i z uśmiechem wyciera mi z pleców moje „138”. Uśmiecha się jeszcze raz, ściskamy sobie ręce. W domu radosne przywitanie z Mamą i domownikami. Po południu Staszek, Kostewicz, Bachleba i Kielman witają mnie, jakby przybyłego z tamtego świata. Może i tak... moje karteczki doszły natychmiast, cała kadra została od razu przesunięta „oczko w dół”. Do wyjaśnienia sytuacji. Nazajutrz w Sądzie drugie radosne przywitanie, a Major witał mnie jak rodzzonego syna. Dobrze wśród swoich. W Sądzie od wypadku Węgrzyn pokazuje mi mało znane boczne wyjście, a z Prezesem dr Gniewoszem i mymi Sędziami uzgadniamy z detalami, jak mają postąpić „gdyby coś”. Po krótkim przejściu do „rezerwy” ponownie objąłem „Krystynę”.

Jeszcze w roku 1940, nie pamiętam daty, chyba wiosną, miałem jeszcze jedno spotkanie z „Kordianem”. W hallu Banku Polskiego (już „emisyjny”) przy ul. Szpitalnej. Wszedłszy do hallu zachowywał się tak „konspiracyjnie”, że z duszą na ramieniu czekałem, aż podejdzie do niego jakiś niemiecki „kapus” i wylegitymuje go. Był to nasz ostatni kontakt w czasie wojny.

Z końcem 1940, lub z początkiem 1941 roku Major polecił mi sprawdzić działanie systemu alarmowego. Był to dzień pracy, więc można było liczyć tylko na część wezwanych. Umówiłem się z Majorem w cukierni Danka (obecnie „Kopciuszek”) przy ul. Karmelickiej 4. Łączniczki czekały na rozkaz. Polecilem rozpocząć alarm o godzinie 10-tej — dla 4 plutonów. Żołnierze mieli przechodzić indywidualnie pod oknami cukierni (oczywiście nie wiedzieli, że stamtąd będą obserwowani, mieli podany odcinek przejścia od Kościoła OO. Karmelitów do Plant). Część miała mieć „Kraukauer Zeitung” zatknięty za klapy płaszczy, część podobnie „Gonica Krakowskiego”, część obie ręce założone w tyle. Parę minut po godzinie 10-tej łączniczki rozbiegły się, Major wraz ze mną usiadł w cukierni przy oknie, przy ersatz-kawie. Po kilkunastu minutach ukazał się pierwszy żołnierz, przez dwie godziny przeszło ok. 60 tj. nieco ponad 50%. Biorąc pod uwagę, jak wspominałem, dzień roboczy i godzinę alarmu, Major uznał wynik za dobry. Wyczuwałem z rozmowy, że z Pododcinków Major najwięcej liczy na „Krystynę”, która w czerwcu 1941 roku liczyła w swym składzie osobowym 10 oficerów, 2 chorążych, przeszło 40 podchorążych i podoficerów, 11 kade-

tów — w sumie 180 kilku żołnierzy. Jak wypadły alarmy w innych Pododcinkach — nie wiem. Major miał rację, że w naszych warunkach ludzie muszą być skupieni terenowo, żeby w potrzebie mogli się szybko zebrać. Jednym słowem — wojsko było, — tylko broń — w marzeniach...

Któregoś dnia spotkałem na ul. Karmelickiej Staszka Wojciechowskiego niosącego na ramieniu blaszaną rurę do pieca. W rurze był... karabin Mauzer. Gdzieś go schował, był przeznaczony dla celów szkoleniowych dla przedpoborowych, miało też być parę pistoletów, ale wskazani mi ich posiadacze składali wyjaśnienia dość wykrętne, oczywiście bali się, że mogą tę broń utracić. W drugiej połowie 1941 roku miało ruszyć szkolenie podchorążych rezerwy piechoty w postaci 6-miesięcznych kursów, klasy po 4-6 uczniów, oraz kursy sapersko-minerskie. Szczęśliwie, zaraz po Wrześniu udało się w księgarniach nabyć spory zapas rozmaitych podręczników wojskowych, zwłaszcza doskonały „Podręcznik dowódcy plutonu strzeleckiego”.

Od Majora otrzymałem trzy adresy oficerów zawodowych, których miałem zwerbować. Adam Jaroszewski ps. Korwin, por. 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich i Kazimierz Brannicki, por. 6 P. Strzelców Konnych zdeklarowali z miejsca gotowość wstąpienia do Związku. Lojalnie oświadczyłem, że jako młodszy stopniem zaliczę ich do rezerwy kadry w dyspozycji Majora. Natomiast Roman Gryglewski kapitan wychowawca w Szkole Podchorążych Piechoty — odmówił, tłumacząc mętnie, że zgłosi się „gdy będzie trzeba” — ale teraz to nie, bo nie wiadomo co i jak, że ryzyko i coś tam jeszcze. Był to jedyny wypadek w Pododcinku, że potencjalny kandydat odmówił.

Bywały w naszej służbie i zabawne nieporozumienia. Pewnego dnia zadzwoniła do bramy mego domu młoda dziewczyna. Poszedłem otworzyć. „Do pana Morskiego”. Oświadczyłem, że taki tu nie mieszka. Dziewczę zaczęło we mnie wpierać, że na pewno mieszka, w końcu musiałem jej przypomnieć, że zaczyna się od hasła, skoro na dzwonek ktoś jej otworzył bramę. Była mocno speszona.

Innym razem spotkałem w ul. Szewskiej jednego z najmłodszych, którego osobiście znałem. Rozmawialiśmy o czymś, w pewnej chwili podszedł jakiś starszy pan i powiedział półgłosem „niech pan każe mu stanąć „na spocznij”, bo obaj możecie znaleźć się na Pomorskiej” (w gestapo).

Mój cioteczny brat, student UJ i żołnierz Legii Akademickiej pewnego razu zaczął ze mną rozmowę, że przecież nie można siedzieć z założonymi rękami, że to przecież przegrana dopiero pierwsza bitwa, że jestem oficerem, więc, czy nie uważam... itd. Odpowiedziałem mu, że konspiracja w naszych warunkach to dobre dla zapaleńców, że nonsensem byłoby porywanie się z motyką na słońce, na taką potęgę militarną. Wiedziałem, że Staszek jest akurat w „Krystynie” w III plutonie, on — nie wiedział o mnie. Odszedł ciężko obrażony. Po kilku dniach (na moje polecenie) zgłosił się do mnie w sądzie z jakimś meldunkiem swego dowódcy plutonu i o ile student prawa mógł mieć głupią minę, to miał na mój widok — mój Staś.

W czerwcu 1941 roku „Krystyna” miała 5 plutonów szkieletowych, 186 oficerów, podchorążych, podoficerów, kadetów i strzelców, oraz 6 łączniczek — o których wiedziałem — że są i gdzie są.

W tym czasie zaczęto meldować wzmożony ruch wojskowy w arterii przelotowej ze Śląska ul. Wybickiego (obecnie 18

Stycznia). Coraz więcej meldowano oddziałów, dział, czołgów, samochodów pancernych i ciężarowych, zgłaszano coraz nowe znaki rozpoznawcze na pojazdach wojskowych. Wojsko jechało znakomicie uzbrojone i wyposażone. Meldunki płynęły strumieniem do składnicy meldunkowej (nasz „Orsza” na parę miesięcy przed tym został aresztowany i wywieziony do Oświęcimia, skąd nie wrócił). Meldowali wszyscy, co kto zauważył, meldowali obserwatorzy z trasy, dozorczy domów, których miałem kilku umówionych, emeryci siedzący w oknach, stawiając na kartkach umówione znaki: armata, czołg, samochód pancerny itp.

Zbliżał się dzień 22 czerwca. Jak się potem okazało, olbrzymi wysiłek setek naszych wywiadowców i radiotelegrafistów miał ten skutek, że w Anglii przekazywane przez nasz VI Oddział Sztabu materiały, Anglicy chowali do szaf i wybuch wojny niemiecko-sowieckiej był dla nich zupełnym zaskoczeniem. Nas natomiast nie dziwiło, gdy 22 czerwca wcześniej rano głośniki uliczne obwieściły to wielkie wydarzenie. Ile w Krakowie wtedy wódki wypito, nie obliczyłby żaden komputer. Prasa konspiracyjna, zwłaszcza „Biuletyn Informacyjny” dokładnie informowała o wydarzeniach na froncie, mając do dyspozycji szeroko rozgałęziony nasłuch. Z ciekawością śledziliśmy rozwój wypadków na frontach, wieząc, mimo straszliwych pogromów wojsk radzieckich, że szkopy nie będą miały łatwej sprawy i na bicie w bębny jeszcze za wcześnie.

Aż... w dniu 8 sierpnia rano o godzinie 8-mej wszedłem do swego pokoju w Sądzie. Janek Rys też już był. Ledwieśmy się przywitali, z głębi korytarza rozległ się szybki stuk, coraz bliższy, damskich pantofelków. Bez pukania wpadła „Jasna”, wyraźnie przerażona: „Major, Lew, Brzytewka aresztowani nad ranem, — znikaj!”.

W parę sekund pożegnałem się z Jankiem i Sędzią Łazar-skim, który już był w biurze, informując ich o sytuacji i co mają mówić w razie wizyty nieproszonych gości: o ile wiedzą, mam parę dni urlopu w celach rodzinnych. Bocznym wyjściem, wskazanym mi ongiś przez Węgrzyna wyszedłem na ulicę. Popatrzyłem w lewo, przed bramą ogrodu Sądów stał szkop w tyrolskim kapeluszu i w długich butach. Krótkie pożegnanie z „Jasną” i Węgrzynem, ostatnie instrukcje: jadę do Rabki, do PP. Żebrackich, Browar Okocim, tam łączność — trzymajcie się!...

Jakoś szczęśliwie był pociąg do Zakopanego. Wsiadłem, wmiessany w tłum pasażerów. Wkrótce pociąg ruszył. Wieże Mariackie, Wawelskie i inne zaczęły maleć, niknąć w dali. Zaczynał się nowy etap drogi, któremu na imię SŁUŻBA.

* * *

Tego dnia dowództwo „Krystyny” objął „Sulima” — ppor. Mgr Kazimierz Kostewicz z 20 PP. Ziemi Krakowskiej.

„Waligóra” — Mieczysław Kościeszka Kułakowski, major 3 Pułku Artylerii Lekkiej Legionów — zginął w Oświęcimiu. Podobnie „Lew” — pchor. Tomasz Gołda. Losów „Brzytewki” nie znam, chyba też nie wrócił.

Po krótkim pobycie w Rabce, pozostając w ewidencji Obwodu ZWZ Kraków Miasto — nawiązałem kontakt służbowy z Inspektoratem „Srebro” ZWZ w Rabce i do 31 lipca 1944 roku pozostawałem w stanie kompanii WSOP Rabka, placówki ZWZ-AK „Mnich” w Mszanie Dolnej. A potem był „las” — ale to już inna historia...